

W numerze:
Tarczyńska
**DOM
SAMOTNYCH
MATEK**



Dalszy ciąg
**SKARBU
NA
OBERONIE**



Kolejny wykład
Belfra
**„ŻYJEMY
W PRZÓD
CZY W TYŁ?”**



odgłosy

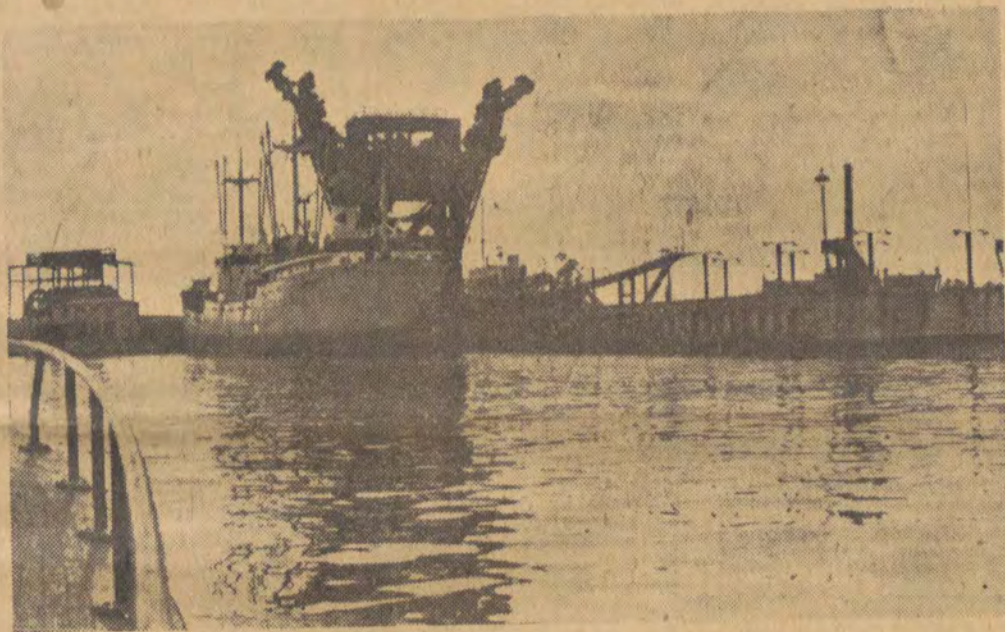
Nr
26 (70)
cena
1 zł

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 28 czerwca 1959 r.

KAROL BADZIAK

Ludzie bez trwogi



Port szczeciński: Bunkrotasłowiec na nabrzeżu bytomskim.

Zaczekaj, niech tylko fajkę nabiję to ja ci tu wszystko wyklaruję zdrąco, pocto zatracony, szeszurze lądowy. Ty wiesz, że stary czif ma dwie rzeczy ciężkie i jedną twarą. Słowo, ciało i rękę, jakem Marcin Kłodziejski, urodzony w Grójcu, który piętnaście lat służył w marwoju, czternaście lat w handlowce, ma trzy żony i jedną córkę... A niech to, chciałbym powiedzieć jedną żonę i trzy córki. A chociażby, to wara komu do tego, a życie na morzu wiele wybacza i usprawiedliwia.

Do stu żagli w balon dętych przez ten wiatr, czkawki lydek dostają gdy słyszą jak zarzucają nam handel samochodami, szmugiel i inne przestępstwa dewizowe, jak zazdroszą nam zarobków marnych.

Niedawno w Konakry spotkałem takiego jak ja sam czifa pływającego pod brytyjską banderą. Zaprosił mnie na wesołą zabawę do burdelu, a ja się go pytam: — Ile możesz ze mną stracić? — 500 dolarów — odpowiada.

— A wiesz ile ja mogę z tobą stracić? — Dwa dolary. Kiedy pojutrze przyszedł mnie zaprosić udałem chorego. Honor czifa i męski wiek nie pozwalały mi. A dziewczynki tam były palce lizać. W Acerze za 15 tysięcy franków można otrzymać na własność 12-letnią Murzynkę. Nie jestem przecież handlarzem niewłoniaków. Spirytus, papierosy to i owszem. Sam handlowałem ze Szwedami to wiesz co ci będę tłumaczył.

czył. Chociaż od tego czasu — prawdę mówiąc — wiele się zmieniło.

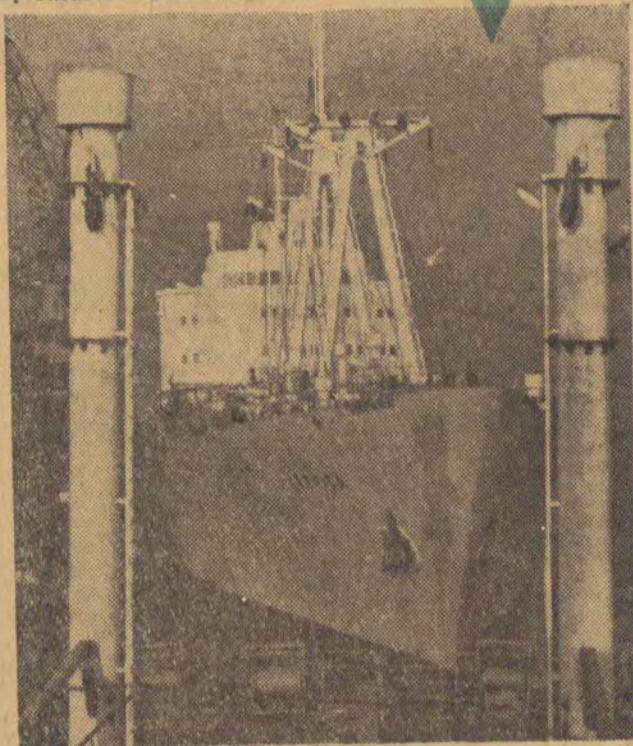
W Ghanie najlepszy interes zrobił nasz kucharz. Za worek ziemniaków dostał dwa worki bananów, które opylił w szczecińskim komisie po 120 zł za kilogram.

Nasi handlowcy mogliby się wiele od nas nauczyć. Chociaż byleś porządnym człowiekiem, a zostałeś pisakiem napisz to koniecznie.

A swoją drogą dziwię ci się bardzo. Zapowiadałeś się

przecież nieźle, tylko za dużo książek czytałeś i to cię zgubiło. Pamiętasz, kapitanowałem na Dąbrówce i wy-

Dalszy ciąg
na str.
6



Pierwszy szczeciński 6-tysięcznik m/s „Krymka”.

SUKCES TERRELLI → str. 3



ANDRZEJ BRYCHT

O dancinach i pracy od podstaw

„... jest nas trzynastu, więc założymy klub entuzjastów”

(śpiewka ludowa)

APOSTROFA BOLESNA

Panu to dobrze, Redaktorze. „Napiszesz, bracie, reportaże o klubach zetemesowskich”. „O czym?” „Zrozumianó, odmaszerować! „Odmaszerowałem, złamany psychicznie.

Na schodach spotkałem kolegę, i mówię mu, tak i tak, co tu robić, temat mi nie leży, żeby jeszcze o chuliganach, ale w zetemesie pewnie z takowymi krucho.

„A no”, powiada przyjaciel, „idź na Piotrkowska 262, tam jest sztab zetemesu, wierchowki zapytaj, jak się

z klubami rzecz ma. Spiszesz tylko, i numer załatwiony”.

Jeszcze w bramie dobiegały mnie nazwiska osób kompetentnych, którymi sy-pał (nazwiskami, nie osobami) zabójczy kolega.

Przez dziesięć dni unikałem Pana, Redaktorze, i mógł Pan mieć do mnie zał... gdyby nie to, że szukałem usilnie koncepcji działania, a to ciężka praca.

ZACZYNAM DZIAŁAĆ

Koncepcja, kiedy się ją już znajdzie, okazuje się tak prosta, że człowiek dziwi się swym poszukiwaniom. Poddyktowana dwoma absolutnie niewzruszonymi pewnością, że, primo: od wierchowki takiej czy innej wiele dowiedzieć się można; że, secundo: reporter z natury

rzeczy lubi szukać rzeczy niezwykłych — dała się w końcu zdefiniować. I cóż? Należy po prostu wkraść się zmyślnie do jednego, drugiego i trzeciego klubu, podpatrzeć, podsłuchać, przemysleć, i... napisać.

Pokątnie, przeciekami tajnymi zdobyłem parę adresów. Postanowiłem działać.

Dokończenie
na str.

4

mały raczej drzewce chłodni, niż wejście do kabiny rakietowej. Wymalowane jaszkrawą farbą figurowały na nich trzy niewinne litery S.A.M. „School of Aviation Medicine” — Szkoła medycyny lotniczej. Carson wiedział zresztą dokładnie co znajduje się za tymi drzwiami: mała kabina, wypełniona aparatami, zegarami, mikrofonami, kamerami i ekranami telewizyjnymi. A wśród nich coś w rodzaju krzesła elektrycznego, z którego wisiały elektrody. Na tym krześle miał spędzić następujących 36 godzin...

Przed dwoma tygodniami, kiedy pułkownik doktor Steinkamp zaproponował mu, aby się dobrowolnie zgłosił na próbną lot stratosferyczny, Roger Carson przyjął propozycję bez zdziwienia i bez taktu. Od roku, to jest od momentu, kiedy został przydzielony do bazy doświadczalnej w Randolph, w tym dziwnym zakątku Teksasu, gdzie nie było ani cowbojów, ani kaktusów, Carson widział dziesiątki ludzi, poddawanych próbom w ultra-doskonalej i ultra-sekretnej aparaturze tortury, od których rano się w hangarach. Ale kiedy nastąpiła decydująca chwila serce biło mu niespokojnie.

Kiedy pierwszy człowiek wylądował na księżycu lub zbadał tajniki planety Mars, będzie miał to do zawdzięczenia setkom doświadczonych, przeprowadzanych w różnych bazach lotniczych, a między innymi aparatami, wypróbowanym obecnie w Teksasie. Wyrzucić w przestrzeń satelity napełnione instrumentami jest sprawą dość skomplikowaną. Ale w obliczeniach uwzględnia się jedynie mechanizmy, których uszkodzenie nie pociąga za sobą ostatecznej tylko straty pieniędzy. Wysłać w kosmos rakiety z pilotem, który nie jest elektrycznym robotem, lecz żywym człowiekiem, pragnącym pozostać przy życiu — to całkiem inne zagadnienie. Specjaliści aeronautyki musieli więc wciągnąć do warszławy lekarzy, biologów i ludzkie kobaję. Przed wysłaniem człowieka w przestrzeń trzeba zbadać dokładnie, jakie będzie jego zachowanie, jak zareaguje na brak ciężkości, na szoki akceleracji i nagłego zwalniania, na upał, balas, mroz, na samotność i strach. Tak więc podczas gdy w Cap Canaveral technicy pracują nad budową rakiet księżycowych, w bazie Randolph przeprowadzane są badania nad zachowaniem ich przyszłych ekip. Stworzono już szereg kabiny eksperymentalnych, lecz nie zdolano odtworzyć dokładnie warunków lotu stratosferycznego. Aby stwierdzić, co się naprawdę dzieje na trasie Ziemia — Księżyc trzeba będzie jednak odbyć tę podróż.

Kierownikiem umundurowanych kobajów jest Niemiec doktor Hubertus Straghold. Pod jego właśnie nadzorem wykonano budowę hermetycznie zamkniętej kabiny, w której Roger Carson miał spędzić jeden dzień i dwie noce. Ciśnienie atmosferyczne wewnątrz kabiny jest takie, jak na szczytach Himalajów — tj. identycznie to samo, jakie będzie można zrealizować w kabine sztucznego satelity, krążącego w odległości 1.700 kilometrów od Ziemi. Przy takim ciśnieniu pilot — w danym wypadku Carson — może obejść się bez skafandra, który po paru godzinach stałby się męczarnią nie do zniesienia. Jest jednak za wysokie, aby bez specjalnego treningu umożliwić normalne życie.

SUKCES TERRELLI

„Falszywemu” sztucznemu satelicie doktor Straghold nadał dźwięczną nazwę „Terrella” — Mała Ziemia. Dzięki niej będzie można zbadać, w jaki sposób i jak długo człowiek, przebywający w rozrzedzonej atmosferze, może oprzeć się zmęczeniu. Pierwszy podróżnik kosmiczny będzie człowiekiem samotnym: przy pilotowaniu nie wolno mu usnąć. Od tego, jak długo potrafi przetrwać, zależy sens i wartość jego misji.

Dwie małpki, które w dobrym zdrowiu powróciły z wycieczki na 400 km od Ziemi, dowiodły, że można w mniej więcej normalnym stanie przetrzymać lot w rakiecie. Śmierć Able — która jest przypisywana raczej chirurgom ziemskim, niż promieniom kosmicznym — zachwiała jednak entuzjazm kandydatów na pierwszy lot w stratosferze. A przecież Baker i Able nie pilotowały swojej maszyny, nie musieli podejmować decyzji, ani przekazywać wiadomości na Ziemi. Jeżeli usnęli lub nawet zemdlali na parę sekund, nie miało to żadnych natychmiastowych konsekwencji. Natomiast w czasie lotu samotnego człowieka przeżycie od czuwania do snu może oznaczać przejście od życia do śmierci.

Tak więc eksperyment, jaki pułkownik Steinkamp zaproponował Carsonowi miał znaczenie rozstrzygające. Wybór padł na Carsona, gdyż ze swoją postawą barczystego sportowca, odżywnego kalfornijskim sokiem pomarańczowym, przedstawiał niemal idealny typ inteligentnego kobaja.

W przeddzień „wyjazdu” — był to poniedziałek, dzień wypłaty poborów — „królik doświadczalny” pułkownika Steinkampa poprosił o zwolnienie na spędzenie nocy w szpitalu bazy. Przez cały wieczór pisał listy: do narzeczonej, do rodziców i przyjaciół. Coraz bardziej czuł się podróżnym stratosfery. Gdy nadszedł ranek wydawało mu się, iż za chwilę zasłanie jako skazaniec na krzesło elektryczne. Mimo to zjadł obfite śniadanie: wiedział, iż w ciągu następujących 36 godzin będzie musiał zadowalać się paroma jajkami na twardo.

„Terrella” czekała w hangarze. Wokół panował nastrój jak w studium hollywoodzkim. Nie brakło ani projektorów, ani kamer. Czekało tylko na gwiazdę — na Rogera Carsona.

Widząc ogólne podniecenie Carson pomyślał, iż eksperyment jest może znacznie bardziej niebezpieczny, niż mu powiedziano. Za późno jednak było, aby się cofnąć. Po chwili siedział już w maszynie, a pułkownik Steinkamp objaśniał, iż przez następnych sześć godzin nie będzie miał żadnego zajęcia i może czytać co chce — w tym czasie mechanicy, po raz ostatni sprawdzą aparaturę.

Carson usiadł więc naprzeciw ekranu telewizyjnego, który miał potem przekazywać na zewnątrz wszystkie

jego reakcje. Przeczytał kilkanaście razy ostatni list od narzeczonej, po czym powiedziano mu, że chronometry zostały sprawdzone i że za chwilę drzwi zostaną zamknięte. Po raz ostatni powiedziano, że w ciągu domniemanego lotu okrąży 19 razy Ziemię i że co 90 minut, tj. w momencie, kiedy teoretycznie znajdowałby się nad bazą, powinien podać czas wskazywany przez zegary wewnątrz kabiny, temperaturę i stopień wilgotności kabiny, temperaturę swego ciała oraz temperaturę i stopień wilgotności kabiny. W międzyczasie zaś winien nieustannie obserwować dwa ekrany radarowe na których będą się ukazywały dwa identyczne diagramy. Gdyby między diagramami zaszła najmniejsza choćby różnica, winien ją starannie zanotować. To wszystko były czynności wymagające mniej więcej takiej koncentracji nerwowej, jaką musi wykazywać każdy pilot w czasie lotu. Na zakończenie, oświadczywszy, iż do krzesła jest przytworzona elektroda, która go zbudzi w razie zaśnięcia, Steinkamp przypomniał jeszcze o guziczku na wypadek paniki — wystarczy, aby Carson nacisnął na ten guzik, a eksperyment zostanie momentalnie przerwany.

Z początku Roger Carson nie odczuwał nic specjalnego. Na ekranach nie się nie działo, czas zaczynał się dłużyć. Było mu trochę smutno...

W siódmej godzinie „lotu” Carson odczuł nagły głód. Otworzył zapasy żywności i z rozczarowaniem stwierdził, iż dano mu tylko 3 jajka na twardo, parę kostek cukru, kilka orzechów i garść rodzynek. Ta porcja miała mu wystarczyć na całą podróż. Wyczerpanie zaczął odczuwać dopiero po 11 godzinach. Do tej chwili przekazywanie wiadomości na Ziemię było niemal machinalną czynnością. Teraz stawało się pańszczyzną nie do zniesienia. Głowa ciążyła mu coraz bardziej, wydawało się, iż nie zdoła utrzymać jej w pozycji pionowej. Usnął nagle na siedem minut, ale obudził się z uczuciem, iż spał przeszło godzinę. Myślał, iż nikt tego nie zauważył zapomniawszy zupełnie o kamerze telewizyjnej, która rejestrowała każdy jego ruch. W ogóle z myśleniem było coraz gorzej, nie mógł się na niczym skupić. Wstał z krzesła, aby poczuć, że jeszcze żyje. Z zewnątrz, na ekranie telewizyjnym, walka Carsona ze snem wyglądała jak jakiś nowoczesny film.

Nie miał dość odwagi, aby nacisnąć na guzik od paniki. Nawet i to wydawało mu się zbyt wielkim wysiłkiem.

Na sześć godzin przed swoim powrotem na Ziemię Carson przekazał meldunek do ziemskiej ekipy.

„Tutaj Terrella. Moja temperatura wynosi 36°, wilgotność względna kabiny jest 50%, temperatura 27,22°. Jest mi bardzo trudno walczyć ze snem. Muszę się trochę ruszać, bo inaczej zasnąłbym od razu. Zdję...

się, że przez chwilę drzemałem. Okropnie mi się chce spać.

Od zewnątrz odczuwał się głos pułkownika Steinkampa. „Wszystko w porządku. Zrobiliś dobrą robotę. Wytrzymaj jeszcze trochę, już niedługo”.

Carson uśmiechnął się z zadowoleniem. Nigdy jeszcze pułkownik nie mówił do niego głosem tak łagodnym. Czuł się doskonale, był szczęśliwy, na duszy było mu lekko i pogodnie. Marzyły mu się oficarskie naszywki. Miał tylko jakieś lekkie uczucie winy... W tej właśnie chwili obudził się.

Kiedy składał swój następny raport do bazy, Carson dowiedział się, iż bezpośrednio po kończących słowach pułkownika zapadł w głęboki 45 minutowy sen. Za to w ciągu następujących czterech godzin, ostatnich godzin spędzonych w „Terrelli”, umysł jego pracował tak samo dokładnie i sprawnie jak na początku tego dziwnego „lotu” dookoła Ziemi. Tak więc ten test wytrzymałości dowiódł, iż pomimo dwóch krótkich luk, kiedy Carson został pokonany przez sen, samotny wielogodzinny lot człowieka w przestrzeni jest rzeczą możliwą.

Roger Carson, nieświadomy ważności tego czego dokonał rozpoczął ostatnią fazę prób, które pozwolą kiedyś człowiekowi na opanowanie eteru. Od maszyn, które nie mogą oderwać się od Ziemi, uczeni nie nauczyli się już niczego nowego. Ponieważ nie ma możliwości, aby na Ziemi odtworzyć w idealnie dokładny sposób warunki lotu — trzeba stworzyć maszynę, która pozwoli na robienie prób w stratosferze.

Maszyna taka istnieje już i nosi nieco romantyczną nazwę tajnych agentów: X-15. Próby rozpoczną się dopiero teraz, po ostatecznym zakończeniu eksperymentów na Ziemi. Ze swoją czarnąabiną i krótkimi skrzydłami X-15 nie przypomina w niczym samolotu. W rzeczywistości też nie jest już samolotem, lecz raczej rakieta. Wyruszony z lecącego bombowca X-15 będzie mógł pomimo wielkiego obciążenia instrumentami (600 kg) osiągnąć na wysokości 200.000 metrów szybkość 8.000 kilometrów na godzinę.

Tak więc samotnik z „Terrelli”, który zakończył serię eksperymentów na Ziemi, otworzył innym pilotom drogę w nieskończone przestworza...

Opracowała
J. K.



Na ekranie telewizora śledzi się reakcję zamkniętego w stalowej komorze człowieka





Tekst: ANDRZEJ BRYCHT Zdjęcia: W. BILIŃSKI

O dancinгах i pracy od podstaw

NARESZCIE

dowiaduję się, ile działa klubów faktycznie, wbrew statystykom czynników i dowiaduję się jak powinien wyglądać klub, jak powinien pracować, żeby, jak to się mówi, naszym rzeczywistym warunkom odpowiadał.

Dzielnica Staromiejska. Ulica Mariana Buczka 17. Świetlica przy ZPW im. Łukasieńskiego. Sala na sto dwadzieścia osób, estrada. Ściany pomalowane w ohydne, zgnilo-zielone tapetowe wzorki. „Dlaczego?” „Bo my to sami malujemy, żeby taniej wyniosło”. „A na co przeznaczacie pieniądze?”

„Jakie pieniądze? My nie jesteśmy synkarzami.

Nie sprzedajemy wina, które niewątpliwie dla wielu byłoby największą atrakcją klubu. Nie mamy pieniędzy. Personel jest nieopłacony od półtora miesiąca. Czekamy na dotacje...”

Kierownictwo klubu opracowało statut, który odczytuje się każdemu nowostępującemu. Na terenie klubu nie wolno pić alkoholu. Nawet piwa.

Kiedy otwierano klub, 28 czerwca ubiegłego roku — odczytano na głos statut wszystkim obecnym. Wtedy ktoś wstał i wyszedł. „Bez wina, co to za klub” — powiedział. Po tygodniu przyszedł, przeprosił, zapisał się. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że klub z miejsca rozwinął ożywioną, wszechstronną działalność. Kogo tu już nie było! O czym tu nie rozprawiano! Było spotkanie z satyrykiem, panem Safrinem. Było spotkanie z młodzieżą zagraniczną. Grał kwintet P.R. Spiewali soliści radia. Urządzono konkurs zręczności — dla młodszych, konkurs tańca — dla starszych. Wszelkiego rodzaju zgaduj-zgadule. Spotkania z wojskiem, z komendantem MO. Spotkanie z artystami cyrku radzieckiego. Odbył się cykl pogadarek: „Zasady dobrego wychowania”. Wyświetlano filmy. Mówiono o astronomii, oglądano gwiazdy przez lunetę. Niedawno młodzi, do osiemnastu lat, urządzali biwak dwudniowy w lesie tuż przy szpitalu. Są w planie wyieczki krajoznawcze po województwie. Prowadzi się systematyczną naukę głośnego czytania. Przygotowuje się kurs — może lepiej — cykl pokazów właściwego zachowania przy stole. Wykorzenia się nawyk używania niecenzuralnych słów... Dwudziestoletnie byczki już nie trzymają ręk w kieszeniach podczas rozmowy z kobietą.

Klub ten (nazywa się „Czajka”) jest własnością całej dzielnicy. Na wszyst-

wa, białdowa, ping-ponowa — to żywe, nie fikcyjne sekcje. Śpiewa chór mieszanym... Coż można więcej?

A można. Bo kierownictwo klubu miało z młodzieżą w pierwszym okresie pracy niejakie trudności. Przynosiłi różni na zabawy butle ognistej wody, ukryte w obszernych kieszeniach. Tu i ówdzie zdarzyła się draka.

A więc kierownictwo Klubu zadało sobie trud, i zaczęło odwiedzać rodziców tych młodych ludzi.

Rodzice, jak rodzice, raz opryskliwi raz płaczliwi, nijacy. Ale dobrze takie wizyty robiły. Młodzi wydziali, że komuś na nich zależy.

„Do licha, powieście, ile osób liczy kierownictwo tego Klubu, że ma czas na to wszystko?”

Tak to wygląda: współ-

kład okresie, daje się zaobserwować odpyły naszych klubowiczów do „konkurencji”, gdzie można pić...”

Coż, niewesoło. Osiągnięcia bezsporne są. Zauważymy po sposobie, w jaki młodzież odnosi się do swojej kierowniczej, że pani Rendecka talent pedagogiczny ma. Czy można jednym pociągnięciem zniszczyć efekt rocznej, usilnej pracy? Pewnie, że można. Ale czy wolno? Bardzo bym się na towarzyszy handlowców z wierzchówki zgniewał, gdyby spróbowali zalać winem tę jedyną bezalkoholową wyspę.

Tej groźby mało — żądam, aby usunięto alkohol ze wszystkich klubów ZMS w Łodzi! Sądzę, że to żądanie poprze każdy rozsądnie myślący człowiek. Natomiast



Dokończenie ze strony 1

WSTĘPNE KROKI najtrudniej zrobić, bo trzeba było po cichu, boczkciem, koło ściany. Portier zerknął badawczo, ale takie akcesoria, jak krawaty i okulary, upewnili w przekonaniu, że jestem pracownikiem Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego nr 1. Przeszedłem.

Na pierwszym piętrze drzwi, tabliczka: „Dział Drzewny”. To chyba nie tu, powinno pisać „Miki”.

Penetruję podwórze. Idzie facet.

— Panie, gdzie tu „Miki”?

— Co pastę robią? Dwie bramy stąd?

— Może i pastę robią, ale to klub... —

Spojrzał zdziwiony.

— Klub? Prasy? To dalej... —

— Nie, zetemesu. —

— A, to ja nie znam... —

Jest przecież. Tynk ścięte dróżki pod oknami. Remont. Zaglądam przez okna. Duża, długa sala. Nabradziazone. Jak remont. „Zalutowany jeden”, myślę.

Ale w bramie, na dwóch czerwonych nogach stoi tablica. Patrzę, bo chyba ze dwadzieścia zdjęć. Piękne zdjęcia. Kolega z wąsikiem koło sztandaru, kolega z wąsikiem w przedydium, kolega z wąsikiem na mównicy, kolega z wąsikiem wszędzie. Pewnie, że nie sam. W grupie. Ale tylko on osobliwie wskoczył mi na pamięć.

Złótkła u dołu egzystuje kartka. Przecieram szkła. Szybko notes! Pióro!

CO NA PAPIERZE STAŁO:

„Jedenastu pracowników naszych zakładów podjęło się w styczniu 1958 roku zorganizowania grupy ZMS.

W marcu tegoż roku grupa liczyła już pięćdziesiąt członków. W końcu roku już stu dwudziestu siedmiu. Otrzymuje pierwszy na terenie Łodzi i województwa sztandar organizacyjny, wręczony Komitetowi Zakładowemu.

U brzegów ubiegłego roku postanowiono stworzyć ośrodek, skupiający członków grupy w działalności kulturalnej, rozrywkowej itp. I oto

17 kwietnia następuje otwarcie Klubu „Miki”. Odbijają się w klubie odczyty, tańce, wieczory autorskie, spotkania z literatami. Od pierwszego stycznia bieżącego roku odbywają się tylko wieczorki taneczne.

Klub czynny we wtorki, czwartki, soboty — w godzinach 18.00 — 22.00”.

PIERWSZE REFLEKSJE

Jedno zdanie uderzyło mnie tu boleśnie. To przedostatnie: „Od pierwszego stycznia odbywają się już tylko wieczorki taneczne”.

Hm... Jak widać, niewiele zostało z początkowych ambicji założycieli Klubu. Dlaczego? Czyżby nie można było znaleźć chętnych do wygłoszenia dekawy pogadanki, interesującego odczytu — czyżby literaci wzbraniał się czytać swoje utwory, czyżby taką trudność przedstawiała zorganizowanie spotkań z przedstawicielami różnych dziedzin sztuki i nauki? Czyżby kierownictwo Klubu uległo chęciom tej grupy członków, którzy chcieliby całą młodzież przetańczyć?

Klub czynny jest trzy dni w tygodniu, po cztery godziny dziennie. Daje to dwaście godzin w tygodniu, spędzonych beżmyślnie przy kawie i winie. Tak, tak, proszę się nie dziwić: jak się okaże, prawie wszystkie Kluby ZMS na terenie Łodzi, egzystują na zasadach rentowności. Ciągna zyski ze sprzedaży kawy, wina, ciastek, papierosów... Dochody przeznacza się na opłacanie orkiestr, które przegrywają na wieczorkach. Prócz tego pobiera się opłaty za wejście w wysokości złotych dziesięciu, a nawet, jak w „Miki” — piętnastu. Ciekawy jestem, na co przeznaczają się spore niewątpliwie sumy, wpływające z tego rodzaju imprez, jeśli najpoważniejsze wydatki, jak radiofonizowanie Klubu, czy kupno ekspresu do kawy, pokryte zostały z przydzielonych dotacji.

Honoraria literatom za wieczory autorskie wypłaca Wydział Kultury PRN. Za wszelkiego rodzaju odczyty należności pokrywa TWP. Kierownictwo Klubu nie pozostaje nic innego, jak tylko postarać się o właściwe „zorganizowanie widowni”, namówić ludzi przywykłych

od paru miesięcy do tańca, żeby zechcieli laskawie ruszyć mózgami.

Skąd wiem o tym, że „Miki”, to półoficjalna winiarnia? Ponieważ wiem.

CO W TRAWIE PISZCZY

A piszczy dużo. Mogę nie zdradzać nazwisk moich dobrane poinformowanych rozmówców, więc nie zdradzę. Zresztą za wiele byłoby tych nazwisk. Zdaje się, że bez powodu nie mówiliby tak:

„W „Sesamie” codziennie bójki...”

„W „Sesamie” pijaństwa...”

„Sesam” — to Pekin...”

„Zdaje się, że „Sesam” zamkna, bo ostatnia kontrola finansowa ujawniła jakieś, delikatnie mówiąc, niedociągnięcia...”

Ho, ho — myślę sobie — tę skwarkę trzeba zostawić na deser. Otworzymy ten zakątek Sesam, nieco później, w następnym odcinku. Na razie trzeba znaleźć klub wzorowy, żeby mieć jakąś skalę porównań, jakieś kryteria podstawowe.

Ulica Deszczowa. Trzeba jechać. „Ależ tam już nie ma klubu, proszę pana” — powiada ktoś kompetentny. „Jest już tylko świetlica przyzakładowa, klub nie zdał egzaminu...”

O, do diabła! Trudne, widać, te egzaminy! Ale cóż — znów przypomniałem sobie wino, właściwy cel klubów — rentowność, przestając się dziwić. Co tu gadać — nieokrzesa młodzież z przedmieścia, kiedy wypije trochę, wiadomo jaka jest. Tam i szyby podobno leciały.

A czy to naprawdę przekracza ludzkie siły, i możliwości pedagogiczne, żeby zacząć tę młodzież wychowywać? Nie snobujmy się, do licha, na urządzanie cocktailparty w klubach Związku Młodzieży Socjalistycznej! Jak ktoś chce tańczyć, pić alkohol — ma do tego celu restauracje z dancinami. Nie urządzajmy barów dancinowych dla ubogich — nie wierzmy tyle w pieniądze, co w wiedzę o dobrym zachowaniu, i wszelką inną wiedzę.

Już, jakby nie było, trzy kluby diabli wzięli. Trudno. Ale ile tych klubów w Łodzi jest? Jeden z czynników powiedział: „Szesnaście, ale głowy, to bym za to nie dał”. Pewnie, ja też nie. Bo oto

Stalam na krańcówce tramwaju numer 3 nie bardzo wiedząc jak znaleźć ul. Drużynową.

Przechodziła młoda dziewczyna w ślicznej, czerwonej spódnicy. Zapytałam.

— Podprowadzę panią. Mieszkam na tej ulicy.

— Tam gdzie jest Dom Małych Dzieci? — upewniałam się raz jeszcze.

— Tak. Akurat naprzeciwko mojego domu. Pójdziemy krótszą drogą — przez pola.

— Co mówią o nim w okolicy?

Dziewczyna udawała, że nie słyszy. Zainteresowało mnie to. Powtórzyłam pytanie.

— Ja nie wiem jak to powiedzieć... bo ja jestem jeszcze młoda...

Jakaś przemyślność w uśmiechu i spojrzeniu dziewczyny zirykowały mnie.

Wokół domu — siatka. Za siatką soczysta zieleń trawnika pokryta jaskrawo białymi plamami suszących się pieluch.

LINIA DEMARKACYJNA

Nasz kraj to taki dziwny kraj, gdzie usunięcie ciąży spotyka się z potępieniem, ale odwaga urodzenia nieślubnego dziecka — z jeszcze większym potępieniem. O cudzym poronieniu mówi się tylko jakiś czas, ale o nieślubnym dziecku — całe życie. Siatka oddzielająca Dom od ulicy jest linią podziału „moralności” naszego społeczeństwa. W Domu żyją te kobiety, którym się „nie udało”, za siatką „na wolności” te, które miały „więcej szczęścia”. Dlatego ten Dom jest pod stałym ostrzałem opinii. W okolicy, na łódzkim przedmieściu utarło się powiedzenie, że jest to „dom porozpusty”, gdyż przebywają tu same panny z półświatka, no i to prawdziwa obraza moralności, aby państwo upadłym kobietom pomagało, a całe społeczeństwo dawało na to pieniądze.

Czy tak jest naprawdę?

„Pani Zosia ma 20 lat i bardzo smutne oczy. Jest od lat sierotą. Pracowała w fabryce, mieszkała „na sublokatorce”. Poznała kiedyś Jęgo. Chodził ze sobą długi czas. Kiedy dowiedział się o ciąży, postarał się o pieniądze na zabieg. Ale pani Zosia bała się — bała się księdza i bólu. Wtedy on odsunął się od niej zupełnie. Odmówił nawet swego nazwiska dziecku... Właścicielka mieszkania sublokatorskiego dowiedziawszy się o co chodzi zabowiedziała, że „nie chce tu mieć żadnych bachorów”. Nie pozostawało nic innego jak rzucić się pod pociąg. Wtedy z pomocą przysłała Centralna Poradnia Ochrony Macierzyństwa. Po odbyciu w szpitalu porodzie umieszczono panią Zosię w Domu Małych Dzieci. Kiedy po urlopie macierzyńskim wróciła do pracy i swego sublokatorskiego pokoju, będzie tu mogła zostawić dziecko pod fachową opieką aż do chwili otrzymania odpowiedniego locum.

Pani Zenia ma 23 lata. Rodzice jej prowadzą gospodarstwo w okolicach P. Z zawodu jest księgową. Po skończeniu Technikum wyjechała na „przydział pracy” do innego województwa. Była dobrym, solidnym pracownikiem, niezłe zarabiała. Niestety w ramach kompresji etatów zwolniono ją z pracy jako osobę samotną. Wróciła wtedy do rodzinnej wioski. Ale cóż może zrobić księgową w takiej dziurze? Postanowiła wobec tego szukać pracy w P. Niestety, nie znalazła tu wolnego etatu. Był to trudny okres w jej życiu. Wtedy poznała mężczyznę. Był serdeczny, miły, pomagał w poszukiwaniach pracy.

Kiedy zorientowała się, że jest w ciąży wstydziła się

powiedzieć mu o tym. I wtedy stało się najgorsze.

Pewnego dnia do P. przyjechała kobieta z dzieckiem, którego ojcem był ów kochany mężczyzna. Wytworzona sytuacja zmusiła go do ślubu z tamtą kobietą. Pani Zenia wróciła na wieś. Rodzice wyrzucili dziewczynę z domu, zezwalając na powrót w jednym tylko wypadku: po urodzeniu dziecka musi je komuś oddać. Z tą myślą przyjechała Zenia do Łodzi. Dziecko przyszło na świat, lecz teraz matka nie chce się

wiedzieć takich smutnych historii o mieszkankach Domu. Tu przebywała dziewczyna, której chłopiec po 4-letnim narzeczeństwie (on wtedy studiował, ona mu pomagała), na wieść o ciąży powiedział: „Wydaje mi się, że powinniśmy się rozstać, gdyż nasze charaktery nie zgadzają się”. Tu otaczano opieką uczciwe dziewczęta ze wszystkich środowisk, dziewczęta w sytuacji bez wyjścia. Dlatego opinia okolicy o mieszkankach Domu jest na pewno krzywdząca. Zdarzają się wprawdzie ko-

kach najmniej pomaga się kobietom (one i tak potrafią ułożyć sobie życie), ale przede wszystkim dzieciom, które nie prosyły się na świat. Lepiej niech pozostaną tutaj pod opieką państwa niż miałyby być sprzedawane (a jest tajemnicą publiczną, że takie wypadki zdarzają się), lub podrzucane przez własne matki.

Tego rodzaju kobiet przebywa jednak w Domu niewiele i dlatego na podstawie ich stosunku do życia, nie można kształtować opinii o wszystkich mieszkankach zakładu.

KTO ZACZ?

Łódź jest wielkim miastem. Nic więc dziwnego, że przez cały rok wszystkie miejsca w domu są zajęte. Interesujący i bardzo znamieny jest skład społeczny jego mieszkank.

Rzadko spotyka się tu rodowite łódzianki, które mają na miejscu rodzinę. Do rzadkości należą tu też kobiety ze środowiska inteligentnego. W Domu znajdują przede wszystkim opiekę dziewczęta z prowincji i ze wsi. Przyjechały one do Łodzi z mało ożywionych i zacofanych środowisk. Chciały tu znaleźć pracę, mieszkanie, uporządkować sobie życie. Na ogół nie okazują żadnej przedsiębiorczości ani zaradności życiowej — jakąś mnie Panie Boże stworzył, taką mnie masz. Stan ich uświadomienia? — żaden. Tymi kobietami winna zająć się Poradnia Świadomego Macierzyństwa. Organizowanie częstych pogadanek uświadamiających dla mieszkank Domu wydaje się nieodzowną koniecznością.

DOM OPIEKI NIE TYLKO NAD DZIEĆMI

W zakładzie przebywają dzieci do lat trzech. Znajdują tu troskliwą, fachową opiekę i iście matczyne ciepło. Z pełnym zaufaniem oddają swoje pociechy pod opiekę zakładu młode małżeństwa znajdujące się w trudnych warunkach mieszkaniowych. Kiedy sytuacja rodzinna ułoży się lepiej rodzice zabierają dzieci do siebie.

Wprawdzie nazwa zakładu wskazuje, że jest to Dom opieki nad małymi dziećmi, jednakże zakres działalności instytucji jest znacznie szerszy. Oprócz pomocy, jaką niesie Dom chorym kobietom i młodym małżeństwom bez mieszkań, troskliwą opieką otacza się tu matki nieślubnych dzieci.

Kobieta, która znalazła się w ciężkiej sytuacji życiowej może przebywać w zakładzie nawet przez pół roku. Przez ten czas korzysta z pełnej pomocy państwa, nie placąc nic za swój i dziecka pobyt w Domu. Opieka zakładu nie ogranicza się tylko do tego. Kierownictwo Domu przez ten okres stara się kobiecie pomóc w znalezieniu posady czy mieszkania. Kontaktuje się często z ojcami dzieci, kojarzy nawet małżeństwa.

Wszystkie kobiety opuszczają Dom z ustabilizowaną w jakiejś mierze sytuacją życiową. A dalej?... dalej są już same kowalami swojego losu.

Do kierownictwa Domu przychodzi wiele listów od dawnych mieszkank. Są to listy z podziękowaniami, z prośbami o radę, mówią jak ich autorkom ułożyło się życie.

P. S. Pobyt dzieci i matek w Domu jest zupełnie bezpłatny. Państwo łoży na ten cel 1.000.000 zł rocznie. Należałoby zastanowić się, czy matki bądź rodzice wszystkich przebywających tu dzieci znajdują się w takiej sytuacji materialnej, że nie mogą ponieść choćby części

BRONISŁAW CHECIŃSKI

Fraszki



NA EKSPERYMENTY PEWNEJ PRASY

Przyjrzyjmy się tym osobliwościom, chcą dziury w kasie latać... nagością.

NA PEWNEGO PRELEGENTA

Przeskakuje z tematu na temat, ale sensu jak nie ma, tak nie ma.

ROZMÓWKA, CZYLI O JAROSZU

Oczyma mnie pożerasz — rzekła panna rada, on odpalił jej krótko — gęsinę nie jadam.

CIEKAWOŚĆ PIERWSZY STOPIEŃ...

„Chciałbym widzieć własny nagrobek” — rzekł grabarz i do piekła pobiegł.

SKROMNOŚĆ

Swoje lajdactwa wszystkie chce przykryć figowym listkiem.

KRYTYKA

Włosy ci stają wprost na głowie z przejęcia i podziwu, jakże po skórze nie ma przejść mrowie, to nie krytyka — tusz prawdziwy.

Wprost nie do wiary, aby tak było, jednak on mówi najwyraźniej, guzik mój trzyma z pasją i siłą, (w tej chwili urwał go właśnie).

Z ust jego eplywa zarzutów lawa na dyrektorską głowę, rozmówca mój się nie obawia, (inny by nie śmiał ani słowem).

A on śmie — rąbie z błyskiem w zrenicach o limuzynie, o rudzielcu, na złotówki wszystko przelicza, rudzielec jest kosztowny wielce.

Słucham z prawdziwym go podziwem i myślę — jaka strata, że te zarzuty tak kaśliwe mijają adresata.

Lecz nie ominą, przebóg co słyszę, on w żywe oczy mu wygarnie! Ej dyrektorze, będziesz ty wisieć, ej, będzie z tobą marnie!

Wkrótce zebranie walne nadchodzi, okazja wręcz wymienita, usłyszą wszyscy o co mu chodzi, lepiej o nie nie pytać.

Lecz cóż to — nie ma mego krytyka, od głosu się wykręcił. Patrzę — on drzewiczki auta odmyka przed dyrektorem wół zgłety.

kosztów utrzymania swoich pociech.

Byłoby ze wszech miar pożyteczne, moralne, a nawet wychowawcze wprowadzenie zasady częściowej choćby, indywidualnie ustalonej odpłatności, za pobyt dziecka w Domu. Absurdem wydaje się istniejący stan rzeczy. Dlaczego rodzice nie wychowujący własnego dziecka pobierają zasiłek rodzinny i zatszymują go dla siebie? To chyba oczywiste, że zasiłek przeznaczony jest dla dziecka i tym samym powinien przechodzić w ręce osoby bądź instytucji, która sprawuje nad nim opiekę. Należy zerwać z tanim i łatwym sentymentalizmem soo-

lęcznym typu: „biedna, nie-szczęśliwa” bądź „porzucona matka”, należy mieć na względzie realnie efektywną pomoc dla tych, którym jest ona najbardziej potrzebna.

Tekst: DANUTA TARCZYŃSKA

Zdjęcie: W. KRASKA

odpłaty str. 5

DOM samotnych



MATEK

z nim już rozstać za żadną cenę. Szpital załatwił jej miejsce w Domu — może tu przebywać do chwili utrzymania pracy i jakiegos mieszkania. Zenia nie chce wracać na wieś: ludzie domyślają się czegoś, wytykają ją palcami, a matka? Matka grozi samobójstwem. Tak wielka jest presja tradycyjnej opinii.

Dla Zeni, z gruntu uczelwej i dobrej dziewczyny Dom jest jedyną przystanią, wielkim dobrodziejstwem, które w pełni ocenia.

Mnóstwo by można opo-

biety o podejrzaną reputację, które po raz piąty, a nawet szósty korzystają z opieki zakładu. One to po trzy-miesięcznym urlopie macierzyńskim znikały i siłą trzeba je sprowadzać, aby zechciały zobaczyć się z własnym dzieckiem. Zdarza się też, że takiej matki nie można w ogóle znaleźć i wtedy po upływie pół roku pozabawia się ją sądownie władzy rodzicielskiej, a dziecko wskazuje opiekę państwa, albo adoptuje je jakaś rodzina. Można by wobec tego zapytać: po co pomagać takim matkom? W tych wypad-



SZCZECIN;
widok z Wa-
łów
Chrobrego
na elewator
portowy

(Dokończenie ze str. 1)

bralismy się obaj do „wesołego miasteczka”. Jeszcze wtedy lubilem cię do miliona fal szemranych w morską toń! Ja z Rudą Krystą a ty z Małą poszliśmy do „Royalu”. Mała nabrała cię wtedy szpetnie na tę swoją historię: Pochodziła ze wsi pod Radomskiem. Było ich w domu siedmioro i kiedy ciotka ze Szczecina napisała do jej matki aby przysłała Małą to nauczy ją dobrego fachu, matka zgodziła się. Mała przyjechała, ale zamiast do zakładu fryzjerskiego trafiła do „Bajki”. Dalej jej wtedy siedem tysięcy złotych na starą walutę i prosiłeś aby nazajutrz wyjechała z powrotem do matki.

Kiedy wróciliśmy z Rotterdamu spotkałem Małą w „Magnolii”. Nie wróciła. Z ich drogi się nie wraca, tak jak i z naszej. Może jej historia była rzeczywiście prawdziwa. W każdym bądź razie jako filantrop poniosłeś porażkę. Chociaż później słyszałem od Grisy, że podobno byłeś jedynym facetem przed którym wystydziła się swego fachu i koniecznie chciała ci oddać tę forszę. Honorna mewa.

A propos Grisy. Jest obecnie na dejmanie. Bracia Mikli pływają na „Gliwicach”. Janek został sternikiem, a Bolek nadal bosmanuje. Głomza na emeryturze, Wilhelm w więzieniu, a ja jak widzisz nie zmieniłem się. Brzech mi tylko podrosła chyba od tej chininy, której kilogramy lykam na swej afrykańskiej linii. Poza tym nie ciekawego. Rozszedłem się z żoną. Pływałem przez rok na trampingu, linia Bralla — Porty Lewantu, a dejman mi żonę zabrał. Tak się zwykle kończą małżeństwa marynarzy. Najpierw żona narzeka, później płacze, wreszcie się buntuje, a na końcu zdradza.

Nie było rady i na starość zażywam płatnej miłości. Robiłem to zawsze więc się jest przyzwyczajonym. Najlepszą miałem w Lattakia. Rozgadałem się o tych babach, ale sam wiesz, że na morzu to jedyny temat, którym wszyscy żyją.

Opowiem ci o włoskim kapitanie, któremu doktor zmaistrował specjalną gumową babę. Trzymał ją pod kluczem w swojej kabincie, ale majtkowie podpatrzyli go, dorobili klucz, i kiedy stary siedział na mostku kapitańskim wskakiwał tam po kole. Po paru miesiącach wraca do portu macierzystego i idzie natychmiast do lekarza.

— Jak się sprawowała? —
pyta go lekarz.
— Jak żywa — odpowiada

kapitan. Nawet brzydką chorobę złapałem.

Do miliarda czarnych bezek złotych rybek, tak to „upływa” życie na morzu.

Kiedy wy grzejecie swe łuste cielska na podmiejskich plażach — nam pod zworkiem żar wypala mózg, kiedy wam kapelusze z sieci nie myśl, że stary czif

KAROL BADZIAK

LUDZIE BEZ TRWOGI

głowy zrywa wiatr — nami młota, bije i wali, kiedy wy parasolką chronicie się przed deszczem — w nas burze grzmia piorunami, nawalnice zmywają życie z pokładu, a „morka gwizdże na puszczelach rej”. Mgła osłabia nasz wzrok, a sól zżera żreńce pełne tańczących śmierci widziadel.

Kiedy my żyjemy naprawdę, wy tylko nędznie wegetujecie, „strupieszale członki zgnilego społeczeństwa”. Kiedy my walczymy z żywiołami, wy walczyście o posady, kiedy wśród nas rozkwita przyjaźń i braterstwo, was spala zawiść i nienawiść. Jesteście wszyscy świętymi świniami i doróżkarami do stu trylionów lepków od śledzi. I pomyśleć, że my i wy to jedno.

Nie lyp, nie lyp tak zezem. Myślisz, że nie wiem co teraz myślisz. To, co ci dziesięć lat temu mówiłem jest nieważne. Biblię dawno wyrzuciłem na akwenu Biskajów.

Do stu bilionów sztuk dorosły, które ku uciechu całego narodu uciekły z rybackich Marcina patrzy na morze tyl-

ko oczyma pirata, żeglarza i przemysłnika.

Dawno już minął okres, w którym morze przedstawiało dla nas przede wszystkim wartość szkoły charakterów, a najatrakcyjniejszym elementem wybrzeża była

ków i rybaków, naukowców, ekonomistów i inżynierów Wybrzeża — dążenia do rozwinięcia naszej gospodarki morskiej na miarę godną naszego kraju — wymagają zrozumienia i pełnego poparcia społeczeństwa. To mówi ci Marcin, który jak mało kto, zna się na tych sprawach.

sie w Szczecinie wiele. Zbudowano od podstaw nabrzeże Ewa z magazynami dla przeladunków drobnicowych oraz Basen Górniczy dla przeladunków masowych, odbudowano magazyn na Łasztowni, a ostatnio uruchomiono nową stocznice Wulkan. Dzięki tym pracom, port

ich wyniki, znajdują szczerze uznanie w oczach tych cudzoziemców, którzy mieli okazję oglądać nasze miasto tuż po wojnie oraz widzieli je obecnie. Niestety, ilość ich jest bardzo znikoma.

Dlatego ty, pismaku, i inni twoi koledzy, powinniście częściej tu przyjeżdżać, aby móc zbijać z pantatyku niemieckich rewizjonistów. Ślady wojny znikają i w rzeczywistości i w pamięci ludzkiej, dlatego coraz więcej będzie takich, którzy swój sąd o naszym wkładzie gospodarowania tych ziem, kształtować będą nie w porównaniu z ruinami, jakie tu zastałiśmy, lecz jedynie w oparciu o cyfry statystyczne, obrazujące stan niezaprzeczalnego rozkwitu.

Aha, powiedz wszystkim, że w Polsce żyją ludzie bez trwogi. Oni mieszkają w Szczecinie. Ahoj!

Zdjęcia:
Z. DMOCHOWSKI

plaża. Minął także okres, którym żyliśmy w stałej obojętności, że „wąski korytarz” naszych kontaktów gospodarczych ze światem może być odcięty przez niemiecki imperializm i pozbawić nas ówczesnych, niewielkich korzyści gospodarczych płynących z posiadania młodej, nielicznej floty handlowej i wybudowanego jedynego pozostającego w pełni pod naszymi wpływami portu handlowego w Gdyni.

Dostęp do morza przestał być dla nas wyłącznie narzędziem politycznej walki o niezależność — a stał się podstawą wysunięcia na pierwszy plan aspektu gospodarczego bogatej problematyki morskiej — stwarzając perspektywę ogromnych korzyści dla państwa, posiadającego tak znaczne wybrzeże morskie.

Powojenna polska gospodarka morska posiada oprócz geograficznych, wszelkie inne niezbędne warunki ku temu, by stanowić poważną dziedzinę gospodarstwa morskiego i być odcinkiem jego zekniczenia się z gospodarstwem światowym. Wytrwale dążenie marynarzy i portowców, stocznio-

Stan ogólny Polskiej Marynarki Handlowej wynosi obecnie około 100 statków, z czego 45 znajduje się w gestii Państwowej Żeglugi Morskiej w Szczecinie, obsługując 11 linii morskich. W najbliższych dniach zostanie otwarta dwunasta linia łącząca Szczecin z Islandią.

A pamiętasz, jak było w roku 1945? Wycofujące się wojska niemieckie wysadziły w powietrze wszystkie mosty na Odrze, Regalicy i łączących je kanałach. Wojna sprawiła, że w objętym przez nas porcie nie mieliśmy ani jednego zdolnego do użytku dźwigu, a ze wszystkich potężnych obiektów przemysłowych, jak papiernia, huta, cementownia, olejarnie, brykietownia, stocznice itp., leżących w wąskim kilkunastukilometrowym pasie nad Odrą od Wałów Chrobrego do Skolwina, pozostały tylko ruiny i zgłiszcza.

W stocznicach ziały pustką cmentarną krzywe pochylone, a kanały portowe zabarykadowane były wrakami zatopionych statków, okrętów i łodzi podwodnych.

Od tego czasu zmieniło

szczęściński obsłużył po wojnie 45 tysięcy statków i przeladował 63 miliony ton ładunku.

Liczyby te świadczą o ogromie włożonych przez nas w budowę Szczecina wysiłków. Tak owe wysiłki, jak i

Nasza krzyżówka

	1	2	3	4	5	
6						7
8				9		
			10	11		
12		13			14	
		15				
16	17				18	19
			20	21		
22				23		
24						

ZNACZENIE WYRAZÓW: ROZWIĄZAŃ — 2 TYGOD-
POZIOMO — 1) Nauka o NIE.

zjawiskach fizycznych, biologicznych i społecznych, zachodzących na ziemi. 8) Zwaliska, gruzy. 9) Centralne miejsce w cyрку, 10) Prezent. 12) Jelito, kiszka. 14) Słupy, 15) Nadmorska miejscowość wczasowa. 16) Klótnia. 18) Lekra. 20) Brylia pływającego lodu, 22) Arteria wodna. 23) Np. Bałtyk. 24) Szeszere omówienie i rozwinięcie jakiegos utworu literackiego, z ewentualnymi uzupełnieniami.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z Nr 21

POZIOMO — amarant, „Od-głosy”, lori, gaza ryza, mazur, Leon, karp, ospa, Ina, aut, zez, bar, akt, gra sport, rak, Ewa, plama, żbik kula, barkarola, gwar, lis, tusz, szadna. 23) Np. Bałtyk. 24) Szeszere omówienie i rozwinięcie jakiegos utworu literackiego, z ewentualnymi uzupełnieniami.

PIONOWO — 1) Imię żeńskie. 2) Imię żeńskie. 3) Opad atmosferyczny. 4) Wodorost. 5) Imię żeńskie. 6) Zespół profesorski. 7) Roślina o aromatycznym zapachu, używana na przyprawę 10) Imię żeńskie. 13) Kogut, 14) Słucki lub transmisyjny. 17) Bogini mądrości. 19) Chorobliwe ściążanie się mięśni i naczyń krwionośnych. 20) Ozdobna narzutka na łóżko. 21) Wielka rzeka azjatycka.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **STEFANIA ROMANUS**, Łódź, ul. Kilińskiego 96-a/6.
2. **KAZIMIERZ KAROLCZAK**, Łódź, ul. Bystrzycka 3/5, III D, S.

TERMIN NADSYLANIA



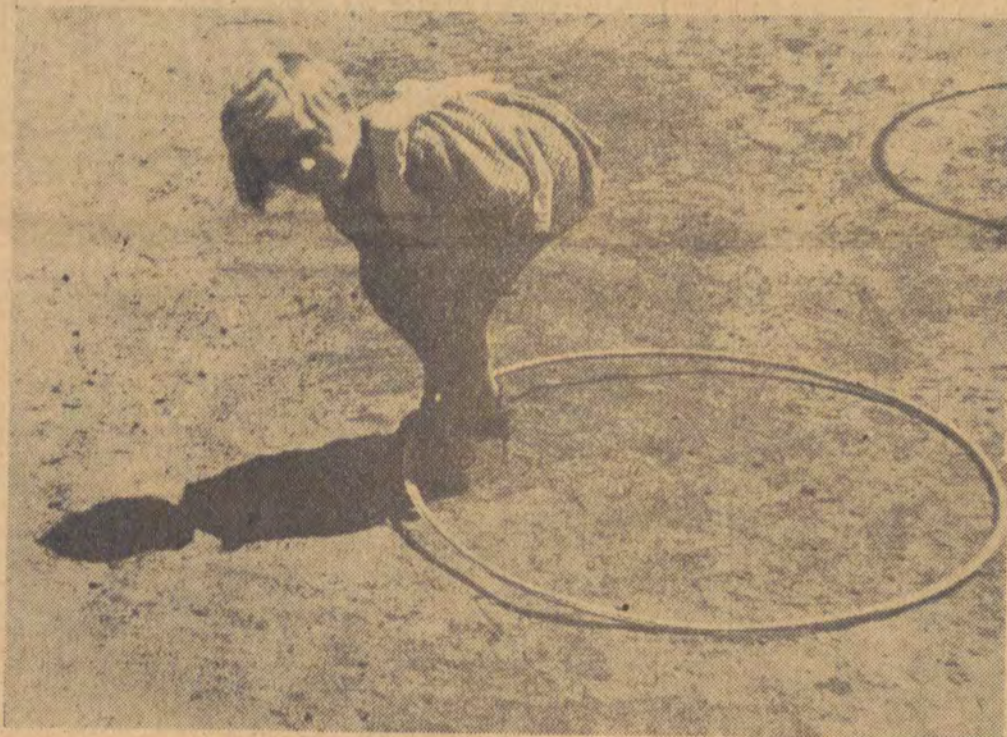
Szczecin. Pierwsza wybudowana po wojnie Śródmiejska
Dzielnica Mieszkaniowa

Wypadło mi jakiś czas przebywać wśród malców trzy-, cztero- i pięcioletnich. Plonem jest około dwustu zdjęć, z których niewielką część przedstawiam obok.

Poczynilem szereg spostrzeżeń, którymi chcę się z Wami podzielić. A więc przede wszystkim nie wdychajcie do lat dzieciennych i nie zazdroście waszym dzieciom No, bo zważcie. Mówią takiemu paroletniemu obywatelowi PRL: „Dziękuj Boży i Polsce Ludowej, że masz szczęśliwe i radosne dzieciństwo. Ciesz się!” A z czego znowu tak bardzo się cieszyć? Chcesz, na przykład, pokręcić kółkiem hula-hoop, a tu kółko opada na ziemię. Rozpacz! W dodatku stoi nad tobą taki pan z aparatem fotograficznym i robi pstryk. I może jeszcze w gazecie zamieszczą. Przyjemnie? Popatrzcie na zdjęcie. Albo inny przykład. Dają ci na obiad zupkę i kaszkę. Zupka jak zupka. Owszem, smakuje. Ale kaszka?.. Czy my małe dzieci? Ma się już za sobą te cztery czy pięć lat życia. A starsi do nas z kaszką. Wolaloby się coś bardziej pięknego. Powiedzmy — kluseczki z serem i cukrem, albo knedle ze śliwkami. Albo też inna sprawa. Pani przyniosła lalkę. Od razu do tej lalki zgłaszają się trzy dziewczynki. I kłótnia gotowa. Bo każda chce być mamusią. A jednemu dziecku, wiadomo, trzy mamusie niepotrzebne. Więc wreszcie zabrała je i uciekła ta dziewczynka, co ją widziacie na zdjęciu. A wśród starszych zdarzają się takie tragedie? Najwyżej tatuś nie chce się przyznać do swych sześciorga dzieci i hula sobie (to takie hula-hoop dorosłych) po całym kraju, zmieniając co trzy miesiące pracę i miejsce pobytu, żeby alimentów nie można było ściągnąć.

No, więc teraz już wiecie, że być kilkuletnim człowiekiem to wcale nie takie zabawne. Chciałbym żebyście o tym pomyśleli z okazji zakończenia roku przedszkolnego. A od dzieci, z ich najuroczystszej przyzwolenia, dedykuję wam, starsi, wam mamusie i tatusie, kilka zdjęć z łódzkich przedszkoli. Przyjmijcie je zamiast, wierszyków jakie dzieci wygłaszają dla swych rodziców na uroczystościach zakończenia roku. Nawiasem mówiąc straszne te wierszyki. Ckliwe, mdle jak kaszka manna.

Nie zazdroście naszym dzieciom...



Tekst i zdjęcia:
Janusz Skoszkiewicz



Mieszkańcy

pod redakcją JANA HUSZCZY

Zarządzenie nr 2

W związku z miesiącami letnimi — a więc okresem masowych wyjazdów na wczasy, urlopy i letniska — apeluje się do pozostających w biurach i instytucjach, aby dbali o należyty wypoczynek swoich koleżanek i kolegów, wykazując przynajmniej przez parę tygodni troskę o ich spokój i nerwy, podrażnione codzienną użerką.

Jednocześnie zaś, ze względu na małą wartość praktyczną apelów i wezwań zarządza się, aby:

- raz do roku, w czasie urlopu koleżanki lub kolegi, nie wygrzyzać odpoczywającej (ego),
 - nie kopać pod nią (nim) dołków,
 - nie psuć jej (mu) opinii u władz i przełożonych,
 - nie wykańczać,
 - nie rzucać na żer!
- Winni nieprzeżegania niniejszego zarządzenia będą:
- wyrzyzani,
 - wpychani do przez siebie dla bliźnich wykopanych dołków,
 - pozbawiani dobrej opinii u władz i przełożonych,
 - wykańczani,
 - rzucani na żer!

mont zakończono i należy się popijawa.

Ale administrator, który należał do ludzi wyjątkowo czujnych, drapając się w swoją dynowatą głowę, wystąpił z oświadczeniem, iż zaczęły nawalać te elementy domu, od których przed rokiem brzydą gada zaczęła swoją działalność.

Wtedy technik wraz z administratorem jeszcze raz udali się do Zarządu Nieruchomości.

Tym razem nie dawano pisemnych obietnic, nie kazano czekać, ale rozsądnie zdecydowano, aby część brzydą nie opuszczała obiektu i przystąpiła do prac, związanych z remontem elementów przed rokiem odremontowanych.

I znowu widziało się wiele nieklamanej radości!

Od tego czasu upłynęło kilka miesięcy. ekipa kończy wykonywać powierzone jej zadanie a my zabiegamy w Zarządzie Nieruchomości o to, żeby przedłużono jej pobyt, gdyż nawalili niektóre elementy domu, restaurowane w środku ub. roku.

Jest nadzieja, że w taki sposób dom nasz już nigdy nie będzie pozbawiony opieki pracowników brygady remontowej. Chyba, że się pewnego dnia rozsypie. Wtedy, rzecz jasna, wcale nie będzie potrzebował remontu!

KALIKST ŁASICZKA

Trzy wiersze

(Ze spuścizny poetyckiej)

1

Fale z sobą spory wiodą,
hen, na brzegu kwitną głogi!
Zostawiono mnie tak młodo
bez wskazówek pośród drogi!
Placę tedy nad tą wodą,
bo w niej kiedyś myłem nogi...

2

Kupię bilet do Kółuszek
i pojedę bez walizki...
A tam złapię wiele muszek,
potem wyjdę na brzeg śliski
z wędką w ręku jak
pastuszek,
by nalowić ryb do miski!

3

Więc odjeżdżasz już na
zawsze?
Twarz ma blada jak papiererek,
słońca blaski co raz krwawszel
Na tym ręku drzy ratlerok...
Wrzesień miła! Wiatry
żwawsze:
jeszcze jeden wioł sweterek!

(Na rękopisie który jest własnością Jerzego Żaruby, znajduje się notatka: „Rok 1936, Skromna Miłosna, ul. Cynaderekiewicza Starszego 12, na obiad był klops z buraczkami; Cackiewicz dziś przyszedł w kracastych spodniach i źle się wyrażał o Agacie...”).

Opowieść o remoncie

Po roku zabiegów w Zarządzie Nieruchomości, administrator naszego domu otrzymał pisemną obietnicę, iż niebawem zostanie u nas przeprowadzony remont.

A chodziło o to, iż przeciekał dach, że trzało coś w więźbie, zarysowała się od dołu jedna ze szczytowych ścian; w niektórych mieszkaniach dymiły piece, przegniły deski podłogi, zarzewiały rury wodociągowe.

I rzeczywiście: zanim upłynęło pięć miesięcy, za pomocą stempli wzmocniono ową nieszczęsną ścianę.

Po jeszcze kilku miesiącach, gdy wichura skopała i dachu parę komnów, zjawiała się niemal cała brygada remontowa.

Ileż to było nieklamanej radości wśród mieszkańców naszego domu!

Brygada pracowała okragłutki rok. Oczywiście, mogłaby pracować tylko miesiąc, ale były istotne przyczyny, które na to nie pozwoliły: pewnych robotników odwoływano do innych robot, niektórzy dość skrupulatnie zamieczyli swoje obowiązki, jeszcze inni wzniesli w tym czasie dwie prywatne wille, czasem zaś brakowało potrzebnych materiałów.

Wreszcie technik i organy uroczyste oznajmiły wybranym mieszkańcom, iż re-

Już wkrótce
fragmenty
notatnika
KALIKSTA
ŁASICZKI!!!



ZYGMUNT FIJAS

Morze, ach ty morze!

było żadnych obaw. W tym miejscu było już po kilku buntach załogi, bohater oczyszczył się z zarzutów, przygotował się do walki z handlarzami skalpów, drab zaś płynął na desce w stronę przeznaczenia: do wyspy, na której miał być zjedzony przez ludożerców.

Ta książka była krepką oliwy do ognia płonącego w nas. Już dawno bowiem postanowiliśmy uciec z domów. Po przeczytaniu tej książki zdecydowaliśmy się.

Było to dawno, bardzo dawno. W górach... Po zwycięstwie wtedy za kilka Hondurasów i jedną Gwineę bez zębka — prześlizgną powieść korsarską... Wklejona ona była w okładki „Pojaty, córki Lizdejki”. W okładkach tej nudnej jak fiaki z olejem „Pojaty” nasze koleżanki przeczytały „Germinal” Zoli, przeczytały „Chłopczyce” Margueritte’a i wiele innych, jak się wtedy w naszym mieście mówiło, „łustych” albo „masnych” powieści.

Pamiętam bohatera tej szmirwowej powieści morskiej.

Był to bardzo piękny mężczyzna w hiszpańskim stroju, z czarną jak smoła brodą i oczyma płonącymi jak węgle.

Na jednej jedynej ilustracji, oblepionej wizerunkami dzikich zwierząt czaił się na niego pewien plugawy drab z siekierą i chciał go, ale ryćca była wyszta w takim miejscu. Książki, że już nie

Bardzo to były pasjonujące chwile. Przygotowaliśmy wielkie ilości suchego prowanu, zbilismy tratwę, rozzebraliśmy wigwam, niestety, jeden z dowódców wyprawy wpadł w ręce sprawiedliwości: przyłapano go w chwili, gdy wynosił ze sklepu dwa bochenki chleba, wzięte na książeczkę rodziców.

Cały nasz plan diabli wzięli. Wzięli w krzyżowy ogień szturchańców, pokazaliśmy nie tylko dziuple, w której magazynowaliśmy suszony chleb, ale wszystko: miejsce zakotwiczenia tratwy, łuki, tomahawki, rodnie. Od tego dnia nie wolno było chodzić nad rzekę. Nie było wolno. Nie ulegliśmy jednak. Pewnego dnia udaliśmy się nad rzekę i po przysięgłemu: na morze kiedyś wyjedziemy! I na znak zaślubin, każdy z nas wrzucił do rzeki aluminiowy pierścionek.

Kto wie czy te pierścionki dotarły do morza... Wszyscy

jednak uważamy małżeństwo z morzem za uprawomocnione; czyli „matrimonium consummatum”, jak by to powiedzieć po łacinie.

I małżeństwa te są użytkowane. Wszyscy owi małżonkowie w jakiś sposób stykają się ze swym ukochaniem. Ja tylko jeden jestem małżonkiem — korespondentem: użytkuję małżeństwo na odległość.

Kiedyś otrzymałem od jednego z tych ludzi morza — muszle.

Gdy ją przyłożę do ucha, słyszę skrzywienie korsarskich rej, radosne wołanie syren statków Żegluzi Przybrzeżnej, łopot ptasich skrzydeł i smutny poszum nadmorskich sosen.

Ten nieustanny poszum, gdy po niebie pędzą szare jak popiół obłoki, mowy podobiane wichrem piszcza i przed oczyma zziębniętych czasowiczów rozciąga się „nie zbadany tajemniczy żywioł”.

Czasem przykładam do ucha zwyczajny, porcelanowy garnuszek i słyszę ten sam poszum. — A no tak, tak niestety — myślę — żywiły umięją przemawiać do wtajemniczonego człowieka nawet przez garnuszek.

Ala pewna mała córeczka, do której jeszcze nie trafiło powiedzenie poety „muszla zapamiętane morze powtarza do ucha”, nie słyszy żadnych żywiołów. Powiada: „Tatusiu, pewnie ci tak w usach skleroza sumi, bo ja nic nie słyszę”.



Korespondencyjny
Kurs Języka
Plastycznego
pod redakcją
HENRYKA
ANDERSA



Picasso: dziewczyna z mandolina



Kubizowana
rzeźba ludowa z Wysp
Filipińskich



Muzyka i taniec, egipskie
malowidło grobowe

KUBIZM

(Dalszy ciąg z poprzedniego numeru)

Zaczeło się, jak zawsze, od niepowodzenia. W roku 1908 na wystawie w Salonie Jesienym w Paryżu nie przyjęto obrazów Braque'a. Były to pejzaże skonstruowane niejako z niewielkich sześciątów. Kubików — jak się wyraził Matisse.

Na szczęście nie Salony decydują o kierunkach rozwoju sztuki. Nie decydują nawet parlamenty. W roku 1912 w Radzie Muncypalnej miasta Paryża, a w kilka dni później w Izbie Deputowanych złożono interpelacje domagające się środków administracyjnych dla poskromienia zwariowanych malarzy. Tu westchnijmy. Krewcy deputowani francuzi byli przynajmniej oryginalni.

Warto jednak zauważyć, że — kiedy zaczynał się kubizm — Picasso i Braque, jego twórcy jeszcze o tym nie wiedzieli. Oni tylko — wraz z małym gronem wybitnych malarzy oraz spora gromada naśladowców — zaabsorbowani byli malarzską analizą najpierw samego przedmiotu potem przedmiotu w przestrzeni.

Co malarz może powiedzieć o budowie przedmiotu? Artysta renesansowy był dokładny: wykreślał możliwie wszystkie zaobserwowane kontury i w powstających w ten sposób polach umieszczał kolor. Artysta barokowy budował bryłę gra światłocienia i wtapiał duże partie konturu w tło, a jednak stwarzał doskonałą iluzję rzeczywistości. Okazuje się, że dokładne opisywanie przedmiotu jest zbędne, wystarczy

wybrać i podkreślić momenty istotne, czasem jakaś drobna kreska wewnątrz przedmiotu lepiej odda jego budowę niż obciągnięcie bryły jednostajnym konturem zewnętrznym.

Ważność samego zagadnienia budowy przedmiotu kubici podkreślali przez uproszczenie, geometryzację form. Krzyżujące się linie konturu wewnątrz, krawędzie ostro ciętych płaszczyzn, dawaly w efekcie jakiejś krystalicznej konstrukcji. Rzeczywiście nawet głowy ludzkie wydawały się zbudowane jakby z drobnych sześciątów. Równocześnie, ponieważ malowano to, co się wie, niektóre fragmenty bryły pokazywane były z różnych punktów widzenia.

Przedmiotu nie oglądamy jednak w izolacji, trzeba go jakoś związać z otaczającą przestrzenią. Tylko... w iluzjonistycznej przestrzeni taki skubizowany przedmiot wyglądałby fatalnie.

Kubici znaleźli pomyslowe rozwiązanie. Krawędzie ważne dla budowy przedmiotu przekształcały się w linie kierunkowe przedłużone w myśl nieskończoności. Po liniach tych — wybiegających w różnych kierunkach i wielokrotnie krzyżujących się w tej nowo skonstruowanej przestrzeni — można było dowolnie przesunąć przedmiot. Od czasu do czasu zaznaczano jakiś jego fragment, jakoby zapamiętany ślad. W ten sposób po pierwszym sam przedmiot rozłożył się w przestrzeni — pozostały tylko rozrzucone fragmenty — ślady, które w myśli trzeba było zebrać na nowo by odtworzyć sobie pierwotny wygląd bryły. Po drugie przedmiot i przestrzeń stopyły się w jedno — w zreczniekających się linii i planów w nierozdzielalną konstrukcję z kubików.

Redaguje Zespół ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86, Tel. 244-79 ○ Warianty prenumeraty: miesięcznie 4.- zł, kwartalnie 12.- zł. ○ Redakcja nie zamawia rekonisów nie zwraca ○ Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 1945. VI. 59. S-3

odgłosy str. 11

Pabianicka Fabryka Papieru
w Pabianicach ul. Żymierskiego nr 7
telefon Pabianice 21-01 oraz Łódź 422-32

**OFERUJE
NAJLEPSZEJ
JAKOŚCI**

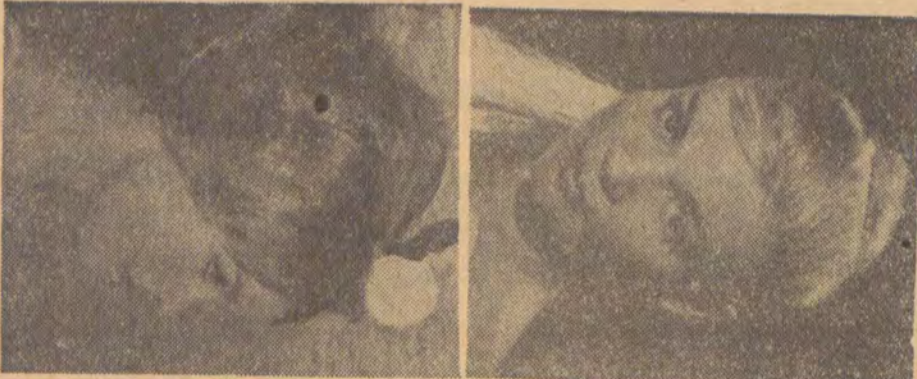
tekturę surową, szarą,
pięćset gramową w rolkach o szerokości 50 cm
w cenie 5 zł 90 gr za 1 kg

Przy zakupie ponad 3000 kg udzielany jest rabat w wysokości 15 proc.
Przy zakupie do 3000 kg udzielany jest rabat w wysokości 12 proc.



Agnes Laurant uważają w Ameryce za najgroźniejszą gwiazdę Brigitte Bardot i nazywają ją tam w skrócie B. B. nr 2. Ambitna Agnes postanowiła jednak zrobić na złość rodakom i zostać tylko samą sobą. Zmieniła więc kolor włosów z blond i stała się brunetką. Niestety, w ślad za swoją konkurentką pospieszyła B. B. nr 1, która ostatnio nie tylko wyszła po raz wtóry za mąż — ale też przeszła metamorfozę z blondynki na brunetkę. Ciekawe na jaki nowym pomysł wpadnie Agnes Laurant? Na razie jednak kreci w Hiszpanii nowy film. Jest bardzo zadawalona z pobytu w Madrycie, gdzie została bardzo serdecznie przyjęta przez publiczność, jak również przez miejscowych krytyków.

ALEKSANDER NIESMALEK



macie tę bajkę? Poznali się w małym miasteczku. Na początku były spacery i wspólne oglądanie księżyca. Potem ślub i wyjazd do innego, większego miasta. Skończyły się przejażdżki łódką, pod niebem przejażdżym i wysokim (cytat), wspólnie wierszy czytanie, a „wiosna przeszła dawac ich miłości oparwę z białych brzoł” (cytat także). W dużym miasteczku kawiarnie były zaliczone, a na najbliższą plażę trzeba było jechać tramwajem, długo i z przesiadką. Wreszcie doczekali się pierwszego dziecka i rozpoznać oszczędnie, ciałace życie, starannie relacjonowane w liście. Po jakimś czasie doczekali się także pralki elektrycznej, telewizora, ubrań, bliźniak, a później jeszcze jednego dziecka. W sumie mieli już czworo.

„Obliczyliśmy z żoną — pisze bohater przytoczonej opowieści — że za dwadzieścia pięć lat, po skończeniu studiów przez nasze dzieci — wrócimy do naszego uroczego miasteczka. Nie będziemy przecież tak cy starzy! Życie zaczyna się po pięćdziesiątce! Zostawimy dzieciom urządzonej dom, z pralką, telewizorem i telefonem. I popłyniemy jak dawniej łódką po rzecę. Co myślisz o tym?”

„Myśnię — odpowiada felietonista „Panorama Północny”, że reumatyzm nie znosi wilgoci!”

Dziwna odpowiedź. Cyniczna; a może tylko brutalna? List był najpewniej misyfikacją, napisano go dla dobrej pointy. Dobry? Chyba raczej efektowny. Ale i zły zarazem. Bo odpowiedź ta, operująca przeliczeniem, zanikająca w lapidarnym stwierdzeniu, nie uwzględnia drobniaków: czyżegos prawa do

EDWARD FTLER
P R A W O
MARZEN

marzeń. Marzeń o „szczęściu, które się nie trafta, marzeń o ziemi całej”, lub tylko prawa do marzeń najbardziej banalnych, ale i najbardziej osobistych. W Polsce np. co druga maturzystka wiezna na swojej ścianie zdjęcie Basi Kwiatkowskiej. Sam widziałem taką tapetę, na której Basia uśmiechała się pomiędzy świętych obrazków.

Obserwowałem także następującą sytuację: reżyser, uważany za jednego z wybitniejszych (nie tylko w Polsce ale i w Europie) przystępuje do nakręcania filmu. Będzie to rzecz o spotkaniu i poznananiu, historia parogodzinnej znajomości dwójga młodych ludzi.

Scena z filmu reżyserii Johna Forda — „Miasto bezprawia”.



Sądząc, że winę ponosi system naboru do Szkoł Aktorskich. Kandydaci wywoda się z jednego kręgu, z pobliża środowisk filmowych i teatralnych. Na początku spotyka się ich w tanczudzie Spatihu, a potem na pierwszym roku. Do szkoły dostają się talowo, bo znają drogi i sposoby zadania. Nie mam tu na myśli tw. protokół — choć osoby te, gdyby chciały, mogły by o niej jakie poparcie się wysłarać. Owe „drogi i sposoby”, to tylko pewien nabryt zawczasu za sobą umiętności. Umiejętności niedrodzonych przy egzaminie wsępnym. Umiejętności wyrenowanych i nie mających nic wspólnego z talentem. Jest to o-kresiony model adepta sztuki aktorskiej. Taki adepta, choćby go gwałtem naucezono, nigdy już po za te pierwsze arkana nie przesiąpl. Kto chce ntech więcej. Kto nie wierzcy — może zobaczyć spektakl dyplomowy studentckiego teatru.

Tymczasem co druga maturzystka marzy o karierze aktorskiej, a co piątą maturzystka także. Trzeba dokonać sztuki z ograniczania czarnej magii i wybrac z tej marzycielskiej rzeczy dziesięciu utalentowanych ludzi. Na razie nasza kinematografia dokonuje sztuki równie karikaturnej: obrywa się bez tej dziesiętki; i jakos daje sobie radę.

A. J. PIOTROWSKI

TINO ROSSI

Film przywitany popularnego tenora — przypomnijmy sobie jego nie-dawna wzięcie. Rzecz jasna, chodzi o celiwy i kawy i sentymentalny melodramat pt „Splewark nieznan”. Słownym film cieszący się w swoim czasie wyjątkowym wzięciem wśród naszej publiczności.

Okliwosc, żawosc i sentymentalizm, to wyglada jak epiety, prawda? Film miał zresztą fatalne przyjęcie rodzimej krytyki. Uodwodniono mu kiczowatosc i ubożstwo nad powrozczeniem, które

spotkalo go ze strony naszej widowni. Nie zapominajmy jednak, że w tym samym (mniej więcej) czasie podobne dady sprawila nasza zacna krytyka filmowa „Miazta bezprawia”, slynnemu westlowowi rezyserii Johna Forda. Jed-nemu z najlepszych filmow jakie piszacy te slowa miał okazje obej-trzec w swoim zyciu...

Niemniej „Splewark nieznan” istotnie trafil kiezcom. Wszysko tam bylo: utketa pamieci, podroz z wciotowym impresario i obnie-wajaca kariera „nieznanego sple-waka”. Bal — milosc, wreszcie, nasza widownia „nieznanego

„nieznanego splewarka” miał swoje dobre strony. Utrałi w kompromis dwóch gatunków: melodramatu i filmu estradowego. Anegdota stanowiąca pretekst. Można ją było stworzyć, podobnie jak wyszedł

BIATE MYSZKI

Do producenta z Hollywood p. Samuela Spiegela, w którego wybitniejszą postać filmową uległ wpływem oraz narodził „On the Waterfront”, przebieżył mały romansewariosc w ujęs-rodzajnego w hotelu w Tel-Awivie, zglosil się kierowca reklamnat p. Spiegel zwrót autoubosowy p. Kapiński i swego „weksla”.

urzezył mu pogoniocion, po-zobikim swistek dupliernu, który był rewerssem, wystawionym przed 32 laty przez p. Spie-gel, w okresie gdy zamieszki-and jeszcze w Palestynie i nie był sturonym producentem. Powyzsza karteczka uprowa-dzila w zdumienie slawnego producenta.

Po przeliczeniu, blorac pod uogone inflancje oraz narozle „Most na rzecę Kuczal” oraz procenty — wierzyciel otrzy-udajacego w hotelu w Tel-kości 10 funtow angielstkich. Autubosowy p. Kapiński i swego „weksla”.



można na „Elektrycznej rapsodii” np.—lub wlelu innych kieszkich filmach utkanych dobra muzyką.

Warto dla pewnej rozrywki za-pytac znajomych, ilu widzialo „Umberto D”? „Zlodziel rowerow”? „Obywatela Kane”? „Hamleta”?

O „nieznanego splewarka” można za to nie pytat. Ten film widzieli wszyscy. Albo więc jestekim na-rodem melodramow, albo tez, kino, wbrew powszechnej opinii—nie przestalo być rozrywka jarmar-czna!